



Krzysztof Lubicz-Szydłowski

Sygnatura notacji: **N0535**

Data urodzenia: **01.09.1927 r.**

Data nagrania: **22.05.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc rodzina Szydłowskich i rodzina Rylickich, rodzina mojej matki pochodzą ze Lwowa. Rodzina mniej więcej w XVIII wieku przeniosła się z sandomierskiego do Lwowa, po prostu stracili majątność w sandomierskim. Przenieśli się do Lwowa. Dziadek Szydłowski był doktorem medycyny we Lwowie. Ojciec mój był studentem na politechnice i był w obronie Lwowa. Tak samo moja matka była w obronie Lwowa. Po obronie Lwowa ojciec zdecydował się zostać zawodowym oficerem, ale w międzyczasie, w roku 1922 został doktorem biologii. To było raczej rzadko spotykane w polskim wojsku. Dlatego bardzo często się widzi doktor major czy pułkownik Szydłowski. Tak że rodzina jest ze Lwowa. Ja we Lwowie byłem tylko podczas swojego dzieciństwa trzy dni. Przypadkowo urodziłem się w Cieszynie na Śląsku, bo tam dziadkowie żyli. Matka pojechała mnie urodzić i moją siostrę do Cieszyna. Tak że to jest tak. Rodzina jest raczej stara, ma herb Lubicz, który ja od czasu do czasu używam.

Zofia Kunert: A o ojcu coś więcej. Pan tylko tak wspominał, że po obronie Lwowa chciał się poświęcić i poświęcił się karierze wojskowej. Coś więcej o ojcu. Gdzie służył, do jakiego stopnia doszedł?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ojciec w obronie Lwowa był na Persenkówce, później przeszedł, jak obrona Lwowa się skończyła, przeszedł do... Skończył szkołę oficerską w Warszawie, służył w pułku piechoty, w 1920 roku był dwukrotnie ranny, później służył w 5. Pułku Murmańskim, Bałki Murmańskiej. W okresie lat 30. służył w 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej i był później odkomenderowany do Legii Akademickiej, która była dla wyszkolenia studentów uniwersytetu. Przez to, że był sam, powiedzmy sobie, miał uniwersytet skończony, był komendantem legii akademickiej w Krakowie. W 1939 roku został przeniesiony do Warszawy jako szef sztabu Legii Akademickiej. W 1939 roku

w maju został przeniesiony i dowodził batalionem, który był stacjonowany prawie że na granicy węgierskiej. Tak że w 1939 roku zasadniczo nie brał udziału w kompanii wrześniowej, dlatego że już 17. dostał rozkaz przejścia, razem z batalionem, granicy. I po krótkim pobycie na Węgrzech dostał się do Francji. Był w 10. Dywizji Grenadierów. Przez to, że był ekspertem ciężkiej broni maszynowej, tam troszkę Niemców potłukł. Był ranny we Francji. Po upadku Francji był komendantem „Maki”, organizacji konspiracyjnej w Lyon. I tam, powiedzmy sobie, przez to, że ojciec nie był jednostką, którą było łatwo ukryć, był wysoki i bardzo taki łatwy do zauważenia, Niemcy go chcieli, że tak powiem, unieszkodliwić, to się nie udało i ojciec dostał się przez Marsylię do Anglii. W Anglii był przez pewien okres czasu w Brygadzie Spadochronowej, dowodził 3. Batalionem, a później został przeniesiony do 1. Dywizji i przeszedł całą kampanię. Pierw jako dowódca 9. Batalionu, później jako zastępca dowódcy 3. Brygady.

Zofia Kunert: A teraz proszę, do pana wracamy, już wiemy, że urodził się pan w Cieszynie. Proszę opowiedzieć, kiedy to było, o dzieciństwie i jak pan...

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: To bardzo dawno temu.

Zofia Kunert: I jak pan zapamiętał 1939 rok?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Muszę powiedzieć, że od urodzenia to były lata sielskie, anielskie. To był przeważnie Kraków. Ja jestem, że tak powiem, zawsze Kraków lubiłem. Moja matka miała problemy. Dlatego, że ja nigdy nie byłem na kolacji, bo siedziałem razem z żołnierzami, jadłem to, co oni jedli ze swojej menażki. Od dziecka, że tak powiem, byłem zakochany w wojsku. I to zostało do końca mojego życia. Poza tym oprócz Krakowa to były Tatry. To była druga część Polski, która dla mnie była bardzo droga. Nie lubiłem szkoły. Uważałem, że szkoła to jest po prostu zniszczenie wolności chłopięcej. Że miałem dużo ciekawych innych rzeczy do zrobienia i wyszedłem z tego wniosku, że może będzie dobrze, jak ja zostanę na wakacjach w Białce Tatrzańskiej razem z gazdami, a ludzie niech sobie jadą do Krakowa. Ja będę spokojnie sobie żył. I o dziwo, ja wtedy miałem 8 lat, o dziwo moi rodzice się zgodzili. Tak że ja przeżyłem cały rok z góralami. Przeżyłem przednówek i zobaczyłem, co znaczy bieda. I że tak powiem, zakochałem się w Tatrach podwójnie. 1939 rok, ojca przenieśli 1 grudnia w 1938 roku. Warszawy nie lubiłem. To było inne miasto. Nie miałem dobrych stosunków w szkole, bo przedstawiono mnie jako ucznia, który przyjechał z prowincji, więc ja dałem wykład na temat grodu piastowskiego i wyleciałem ze szkoły. Musiałem przyjść następnego dnia z rodzicami. 1939 rok to były moje urodziny, 1 wrzesień. Poszedłem do departamentu piechoty, żeby odebrać prezent od ojca. To była Księga chwały piechoty, którą ojciec akurat otrzymał. Poszedłem na Mazowiecką, odebrałem to i zaczął się pierwszy nalot. No i 1939 rok. To jest taki, że tak powiem, który zmienił moje życie jakby prawie że w 90 stopniach. Ja byłem wtedy w szóstej klasie. Hitler mi zrobił jedną przykrość, że ja zdałem egzamin do Lwowa, do szkoły kadetów. Niestety nigdy nie skończyłem. Nie zacząłem i nie skończyłem. Sam przebieg 1939 roku to szyby leciały. Wojna. I poza tym zmiany ogólne, które, że tak powiem, z dorastającego chłopca stałem się głową rodziny i to tak było aż do 1944 roku.

Zofia Kunert: Ponieważ był pan w rodzinie wojskowej, czy zdawał sobie pan sprawę, czy docierały do pana informacje, czy nastrój dało się wyczuć napięcia, że wojna na pewno wybuchnie? Co się mówiło w domu?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: To, że wojna będzie, to ja już wiedziałem, jak się zaczęła wojna w Hiszpanii. Widziałem, powiedzmy sobie, filmy, bombardowanie grupy Kondora, miejscowości w Hiszpanii. Ojciec nawet opowiadał na temat I wojny światowej. Ojciec będąc w legionach jeszcze przedtem. Znaczący w 2. Brygadzie Legionów. Był internowany w Jugosławii. Tak że ja się dobrze orientowałem, że wojna będzie. Mało tego, to się nie mówiło głośno, ale było wiadomo, że wojna nie będzie wygrana. To było, że tak powiem, było wiadome. Tylko się na ten temat nie rozmawiało.

Zofia Kunert: Ale czy pan jako taki młody człowiek zdawał sobie sprawę, że może ta wojna być aż tak długa?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Cała Warszawa żyła przepowiedniami. Ja orientowałem się, że wojna po upadku Francji będzie trwała dłużej, jak ludzie myślą. Kwestia frontu rosyjskiego też nakazywała myśli, że jednak to trochę potrwa. Rzecz, która była troszeczkę inna to było to, że ja od właściwie samego początku zabrałem się za pracę. Wpierw w Szarych Szeregach, a później w tego, tak że ja nie miałem czasu. Ja musiałem pracować. Byłem w konspiracji. Prowadziłem nasłuch, radio. Miałem matkę, która swojego czasu mi powiedziała, że jak coś tam źle zrobiłem, matka powiedziała: „To nie powinieneś tak narażać rodziny”. Ja mówię: „To jak matce się nie podoba, to ja nie będę w konspiracji”. Matka powiedziała: „To cię z domu wyrzucę”. Tak że to był okres, który był... przechodził w swoisty sposób. I myśmy byli narażeni na różne tragedie, które działy się w Warszawie. Z naszej rodziny bardzo dużo członków zginęło w taki czy inny sposób. To była ta realność, z którą człowiek żył codziennie, ale śpiewał piosenki i był uśmiechnięty, i prowadził swoje własne życie.

Zofia Kunert: A gdzie pan wtedy mieszkał?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Na Rakowieckiej 45, między Opoczyńską a Kielecką. Naprzeciwko Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego.

Zofia Kunert: A proszę trochę więcej powiedzieć o swojej działalności w Szarych Szeregach.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc ja w 1940 roku założyłem drużynę sam, bo byłem harcerzem przed wojną. Ta drużyna została wcielona do drużyny Mokotów Południe. Dostałem, przeszedłem kursy szkół bojowych. Zostałem wciągnięty, powiedzmy sobie, i złożyłem przysięgę. To był 1. Okręg Warszawski łączności i prowadziłem nasłuch radiowy. Rzecz polegała na tym, że mieliśmy małe takie radia zrzucone, zrzutki i odbierało się piosenki. Jedną z tych piosenek to był szyfr. Tylko która, to nikt nie wiedział. Przychodziły łączniczki, zabierały te piosenki. W momencie, jak ja miałem wpadkę, to całą robotę moja mama odziedziczyła.

Zofia Kunert: Czyli to w mieszkaniu się odbywało.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak, tak. Była skrzynka tej wielkości. Przerzucało się drucik i słuchało się Londynu. I po każdej audycji londyńskiej była piosenka, która była pewnego rodzaju szyfrem, czy te zrzuty, które miały iść do Polski czy jakieś inne informacje. Niektóre były tylko piosenki. Znaczący myśmy nigdy nie wiedzieli, co jest, co, tylko chodziło o zapisanie tego i przekazanie jak najszybciej do komendy łączności. A oprócz tego szła praca, powiedzmy,

Szarych Szeregów i BS-ów.

Zofia Kunert: A uczestniczył pan w tajnym nauczaniu? Chodził pan na jakieś komplety?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc ja chodziłem do bardzo znanego gimnazjum. Wszyscy mówili w Warszawie, że jak ktoś nie może zdać matury, to idzie do Giżyka. To nie była prawda. Profesor, dyrektor Giżycki był bardzo zacnym człowiekiem i to była w Królikarni, to była mafia. Nas było 24., z tego, co ja się później dowiedziałem, w powstaniu zginęło 20. I myśmy mieli komplety swoje własne, mieliśmy komplety z Zamojskim. Tak że powiedzmy sobie, ja byłem dość... można było brać przedmioty, że tak powiem naprzód. Tak że ja byłem... troszeczkę w niektórych przedmiotach byłem już w liceum. Maturę zdałem właściwie w Anglii.

Zofia Kunert: A doszedł pan do tego, że 20 kolegów z tych kompletów zginęło w powstaniu. Jak pan zapamiętał powstanie, co pan robił w powstanie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Nie było czasu myśleć. Ja zostałem przeniesiony może z tego względu, że ja byłem dość dobrym, jeżeli chodzi o brzęczyk, jeżeli chodzi o Morse'a. Zostałem przydzielony do oddziału „Podkowa”, „Sztafeta”, której dowódcą był major Kontrym, który notabene był bardziej policjant, jak oficer. To był ciekawy oddział. Dlatego, że ja byłem wtedy najmłodszy. To wszystko byli podchorążowie. To byli jeszcze przedwojenni podchorążowie. To było prawdziwe wojsko. Tam nie było zabawy. Ja zostałem powiedzmy sobie wciągnięty może dlatego, że myśleli, że będą mieli jakąś radiostację, jakąś łączność, coś tego. W każdym razie do tego nie doszło. Koncentracja pierwsza była bardzo taka dziwna, dekoncentracja druga była na placu Dąbrowskiego i myśmy mieli, co myśmy atakowali, Arbeitsamt, najgorsza to była Pasta, pierwsze natarcie na Pastę, gdzie Kontrym był ranny, ja też. Później, powiedzmy sobie, była Zachęta, Jasna, Ogród Saski, przebicie się późniejsze Starówki do Śródmieścia. Tak że było dość głośno. We wrześniu byłem ranny w rękę i dostałem zakażenie krwi, i Kontrym mnie odesłał na drugą stronę alei, żeby tę rękę jakoś ratować. Tam mnie chirurdzy troszkę pomogli i powiedział, że jak chcesz, to wracaj, jak nie, to nie. Ale ja uważałem, że mój obowiązek jest wrócić i wróciłem. I skończyłem powstanie z tym oddziałem.

Zofia Kunert: I co się dalej działo? Gdzie pan trafił po powstaniu?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Myśmy mieli rozkaz od Kontryma, żeby iść do niewoli. Mieliśmy rozkaz, żeby z tej niewoli szybko się ulotnić. Ilu kolegów z Podkowy, co zrobiło, trudno mi powiedzieć. Zrobił to Kontrym, który mnie pobił, bo dostał się do dywizji na tydzień przede mną. Kontrym poznał mojego ojca w brygadzie spadochronowej. Ja do ojca fizycznie byłem troszkę podobny. I jak meldowałem się pierwszy raz u majora, to się zapytał: „Czy kogoś macie na Zachodzie?”. Ja powiedziałem: „Tak jest, panie majorze”. I na tym się skończyło. Tak że jakem nawet w końcu z tej niewoli, to miałem spotkanie z Kontrymem i z ojcem. Ale to się też szybko skończyło, bo przyszedłem do pułku, a tam nie było czasu na nic.

Zofia Kunert: Ale gdzie doszło do tego? Bo pan mówi, to są rzeczy dla pana oczywiste. Dla słuchacza niekoniecznie. Gdzie pan spotkał ojca i Kontryma już po powstaniu? Jak to było? Troszkę tak bardziej szczegółowo.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc powiedzmy sobie, jeżeli chodzi o szczegóły, jak wspominałem przedtem,

dostałem się do Fallingbostel. Z Fallingbostel mi się zachciało wracać do Polski. To trwało bardzo krótko. Kosztowało mnie parę zębów, co mi Niemcy wybili. I dostałem się do Dorsten. Tam złapała mnie żółtaczką. Przeleżałem się jakieś dwa tygodnie i wysłali mnie do karnej komendorówki do Dusseldorfu, Schwickeberge, gdzie bombardowanie Amerykanie robili w dzień a Anglicy w nocy. To była fabryka, która produkowała części do V1 i V2. Było dość wesoło i ja zdecydowałem się gdzieś pod koniec... styczeń-luty, że dość tego wszystkiego. Trzeba się stamtąd wynieść. I zaczęła się droga przez Ren. Później na Krefeld, w kierunku do Nagoh i dostałem się do miejscowości koło Hengelo, do Kanadyjczyków i stamtąd oni mnie z honorami zawieźli do dywizji. W dywizji mnie się zapytali: „Czy macie kogoś w wojsku?” i ja mówię: „Ojciec był w brygadzie spadochronowej”. To mnie zawieźli do 3. Brygady. Brygada wtedy była pod Hengelo. Ojciec już wtedy był zastępcą dowódcy brygady. I zaczęła się [niezrozumiałe, 00:18:43] w 10. PSK Już w Wilhelmshaven byłem na czołgu, ale nie bardzo wiedziałem, jak wsiadać do tego czołgu.

Zofia Kunert: Przeciętny w tej chwili młody człowiek nie wie, że Wilhelmshaven było bazą Marynarki Wojennej i że to był taki punkt bardzo ważny dla dywizji.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak, to było...

Zofia Kunert: Proszę o tym opowiedzieć.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc właściwie Wilhelmshaven to była ostatnia bitwa dywizji, która do pewnego stopnia, zagon i Niemcy się orientowali, że właściwe pomimo, że mieli materiały do walki, mogli jeszcze tę twierdzę utrzymać, to zdecydowali się ją, że tak powiem oddać i Wilhelmshaven zasadniczo to nie była jakaś duża bitwa. To było po prostu objęcie i kapitulacja. Osobą, która wtedy troszkę dowodził pułkiem, to był pułkownik, późniejszy generał Gutowski. To Wilhelmshaven jako koniec wojny, przyjechał generał Anders i ojciec wtedy był, że tak powiem, oficerem placu i zdawał raport Andersowi, a ja grzecznie siedziałem na czołgu i robiłem ważną minę. Później to się skończyło, dlatego że dostałem bardzo ostry kurs i we wrześniu poszedłem do szkoły podchorążych broni pancernej do Anglii.

Zofia Kunert: A miał pan jakiś kontakt z samym generałem Maczkiem? Bo wiem, że wszyscy żołnierze mówili o nim z wielkim uznaniem i szacunkiem, o samym dowódcy.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Generał Maczek był dość wyjątkowym oficerem. Pomimo tego, że z zawodu był oficerem piechoty, troszeczkę faworyzował kawalerzystów. Umiał dobierać ludzi. Prywatnie był bardzo przyjemny pan, wymagający oficer, który, że tak powiem, żądał od żołnierza wszystko, co żołnierz z siebie mógł dać. Dywizja była troszeczkę prima balerina wojska polskiego. Miała, powiedzmy sobie, dość dużo szczęścia, jeżeli chodzi o... Żołnierz zawsze potrzebuje troszkę szczęścia. I kampania, która szła... Maczek miał dużo uznania od generałów kanadyjskich, jak był w 2. Korpusie Kanady, jak dywizja była przy korpusie, jeden z nich był generał Guy Simmons, który był z Toronto. Tak że powiedzmy sobie, Maczek należał do oficerów, którzy byli lubiani przez żołnierza i szanowany przez żołnierza. Powiedzmy sobie, z jednej strony był dobrym dowódcą, ale tak samo był ludzkim człowiekiem. Powiedzmy sobie, nie starał się gloryfikować siebie, tylko była zawsze 1. Dywizja. Ja generała poznałem, widziałem kilkakrotnie, kilkakrotnie rozmawiałem. Wiem, że generał bardzo pozytywnie wyrażał się o moim ojcu, z tym, że to nie wpływało na mnie. Dlatego, że ja prowadziłem swoje własne życie. Że tak powiem, uważałem, że to, co robił ojciec,

to nie jest moja zasługa, tylko jego. Ja byłem sam dla siebie.

Zofia Kunert: A jaki stopień pan wtedy miał?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: W Powstaniu byłem... o, bardzo ważny stopień starszy strzelec, później kapral. W szkole podchorążych zostałem plutonowym. A później mi dali gwiazdkę.

Zofia Kunert: Wiemy już, że był pan w Wilhelmshaven, ale czy na przykład z tego, co ja pamiętam, to jakaś część dywizji generała Maczka, jakieś, nie wiem, jak to nazwać, w każdym razie pewien oddział wyzwalał Oberlangen. Czy pan jakoś uczestniczył, czy słyszał...

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: To była jedna bitwa, którą dywizja przegrała.

Zofia Kunert: Proszę o tym opowiedzieć.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc nie, ja, powiedzmy sobie, nie byłem z tym związany. Jeżeli chodzi o Oberlangen, to biedny pułkownik Koszutski stracił posadę przez Oberlangen, bo nie wykonał rozkazu generała, tylko pojechał panienki oswobadzać. To się dla niego dość tragicznie skończyło, dlatego Gutowski objął pułk. Nazwijmy grzecznie, to był jeden z epizodów wojennych.

Zofia Kunert: Wszyscy podkreślają, że to wspaniałe osiągnięcie.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Jakby to powiedzieć, byłoby wspaniałym osiągnięciem, gdyby to... Oberlangen nie było zagrożone. Pierwsza rzecz, Oberlangen był obozem przed wojną, w 30. latach był obozem koncentracyjnym dla Niemców jeszcze za pierwszych kroków Hitlera. W 1939 roku Niemcy zrobili z tego obóz jeniecki i umieścili tam podchorążych. Dlatego, że wojsko polskie miało taki śmieszny zwyczaj, czy był podchorąży, nikt nie wiedział, kto to jest. Ani to, ani tamto. I tam podchorążowie byli w Oberlangen. Później oni rozproszili po innych obozach. Sam obóz był bardzo nieładnie położony, bo na takich, że tak powiem, torfowiskach, to na granicy holenderskiej. Przyznam się szczerze, że ja w Oberlangen nigdy nie byłem. Natomiast mój szwadron, pierwszy szwadron 10. PSK, stał pod Maczkowym. Dywizja bardzo duże straty miała od pijanych kierowców, którzy wracali z Oberlangen. Na tym kończę Oberlangen.

Zofia Kunert: A w Maczkowie pan często bywał? Jak wyglądało życie w Maczkowie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Wie pani, mi trudno powiedzieć, dlatego że 10. Pułk Strzelców Konnych wziął sobie za honor, żebym ja bardzo szybko został pancernym. Tak że ja po prostu nie miałem czasu. Musiałem zrobić kursy ganerskie, musiałem zrobić kursy kierowców, musiałem kursy łączności. Nie miałem czasu. Nie miałem czasu. Byłem tak zajęty, że nawet na dziewczęta nie miałem czasu.

Zofia Kunert: A jak pan zapamiętał moment zakończenia wojny i co się działo dalej?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Do pewnego stopnia dla mnie to nie zrobiło dużego wrażenia, bo to nie był ten koniec wojny, o którym człowiek myślał. Też epizod, który... Wojna się skończyła, co będzie dalej? Tak jak myśmy się bardzo dobrze orientowali w Powstaniu Warszawskim, że my coś zaczynamy, które jest zasadniczo bliżej końca jak początku, tak samo koniec wojny dla nas był raczej kwestią znaku zapytania, co będzie dalej. Ja dobrze wiedziałem, że w Polsce nie będzie to, o co myśmy się bili. Nie będzie to, o co powiedzmy sobie, myśmy marzyli podczas okupacji, że będzie nowe życie. Dlatego może wybrałem tę drugą drogę, która nie była najłatwiejsza, która mnie wyprowadziła na inne ścieżki, że jestem tym, kim jestem. Nie było rozpaczy, nie było... Moja matka zginęła, więc nie było żadnych takich wielkich dramatów, które były wewnętrzne, ale nie były zewnętrzne. Służba wojskowa pochłonęła mnie zupełnie, tak że, powiedzmy sobie, wyszedłem z tego troszeczkę inaczej jak może moi koledzy.

Zofia Kunert: A matka zginęła w powstaniu?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Nie.

Zofia Kunert: To proszę opowiedzieć.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: W Niemczech. Dokładnie nie wiem.

Zofia Kunert: A w którym roku?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: W 1944 roku.

Zofia Kunert: Ale po prostu została wzięta, aresztowana przez Niemców?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak, tak.

Zofia Kunert: To proszę o tym powiedzieć, bo my nic nie wiemy na ten temat.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ja nie wiem. Ja nie wiem.

Zofia Kunert: Za konspirację została aresztowana.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak, ja nie wiem, dlatego że powiedzmy sobie, grób matki został znaleziony, eks-humowany i matka jest pochowana w Axel w Holandii. Na moją prośbę.

Zofia Kunert: Ale zginęła w Niemczech.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak.

Zofia Kunert: W jakimś obozie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ja dokładnie nie wiem.

Zofia Kunert: Też w ogóle nie wiadomo, rozumiem. Dobrze. A wobec tego zaczął pan o tym, że wybrał pan jakąś drogę życia związaną z karierą wojskową, ale na Zachodzie, tak?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tak.

Zofia Kunert: Proszę o tym powiedzieć, bo tak jakby my nic nie wiemy.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc powiedzmy sobie, po skończeniu wszystkich kursów wojskowych w dywizji, doszedłem do wniosku, że trzeba jednak, sytuacja polityczna była taka różna, więc zostałem przyjęty do wojska angielskiego. Od razu posłali mnie na szereg następnych kursów i po sześciu miesiącach wylądowałem, w 1947 roku wylądowałem w Egipcie, później w Transjordanii, w Trypolis w zachodniej Afryce, a później z powrotem do Anglii i później w Niemczech.

Zofia Kunert: W Niemczech jako...

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: W Niemczech wylądowałem jako członek 2. Pułku Pancernego. Byłem stacjonowany w Munster i koło... jak Rosjanie zaczęli pokazywać swoje ząbki, to myśmy tam pilnowali troszkę granicy. Z tym, że dobrześmy wiedzieli, gdyby Rosja zaatakowała w tym momencie, to by siedzieli w Paryżu w ciągu trzech dni. Ale to służba wojska, że tak powiem była moim życiem. W międzyczasie w wojsku tak samo skończyłem inżynierię, ucząc się, bo w wojsku też się można uczyć. Też byłem zajęty.

Zofia Kunert: A jak pan... Bo cały czas jesteśmy w Europie. Jesteśmy w Niemczech. Co dalej? Jak pan trafił do Kanady? I co robił ojciec?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Mój ojciec trafił bardzo prosto. Mój ojciec, jak dywizja została przeniesiona do Anglii, ojciec przez pewien czas był w PKP w jakimś tam, w formie jakiejś dowódczej i jak to się skończyło, to bodajże dokładnie... czekaj, który był rok? W 1948 albo 1949 roku przyjechał do Kanady. Wybrał Kanadę jako powiedzmy sobie... Z początku prowadził jakieś takie, miał dziwną pracę, jakąś książkowość czy coś takiego. Później zabrał się za swoją drugą profesję. To znaczy biologię. I pracował nad produkcją witaminy B12. I pracował do 70 roku życia, a zmarł mając 72 lata.

Zofia Kunert: A pan jak trafił do Kanady? W ślad za ojcem?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Nie. Niekoniecznie. Ja do pewnego stopnia uległem. Dlatego że ojciec mi kiedyś

napisał: „Najwyższy czas, żebym się pokazał w rodzinie”. Po skończeniu służby wojskowej, chodziłem na politechnikę londyńską. Pracowałem przez rok w Londynie. Poznałem swoją żonę, pobraliśmy się i w 1955 roku przyjechałem do Kanady. Troszkę na prośbę ojca. Z tym, że zasadniczo miałem raczej ochotę pojechać do Stanów. Uważałem, że Stany są bardziej takie, że tak powiem życiowo bardziej rozszerzone. Nigdy nie żałuję, że przyjechałem do Kanady. Może dzisiaj jakbym miał decyzję, to bym raczej pojechał do Australii, ale dzisiaj mając 20 lat, ale już nie mam tych 20 lat. Kanada jest krajem, który... Trzeba się do Kanady przyzwyczaić. Trzeba ten kraj polubić i trzeba ten kraj zrozumieć. To nie jest kraj łatwy do zrozumienia. Ale powiedzmy sobie, da się lubić.

Zofia Kunert: A na czym polega to, że nie jest łatwy do zrozumienia?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Słucham?

Zofia Kunert: Na czym polega to, że nie jest łatwy do zrozumienia?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Dlatego że to jest zlepek całego świata, który przez grzeczność jest jednością. I to ludzie uważają, że to im odpowiada. Tutaj się uczy człowiek tego, że inny kolor skóry nie robi gry. Kanadyjczycy są bardziej tolerancyjni, starają się współpracować. Może nie wszystko rozumieją. Wszyscy są do siebie podobni, bo wszyscy mają ten łamany język angielski albo francuski i nie ma tego, że jest pewnego rodzaju mocny nacjonalizm. Dam pani przykład. Dla mnie prezydent Obama jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. W Polsce to on czarny.

Zofia Kunert: Dla niektórych na pewno.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Dla niektórych.

Zofia Kunert: Dla niektórych na pewno. Czyli tutaj zaaklimatyzował się pan, jak rozumiem, w tym społeczeństwie dosyć łatwo. A po wojnie w Anglii, jak byli traktowani Polacy?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Wie pani, mi jest trudno opowiedzieć, bo ja osiem lat byłem poza Anglią. Muszę pani powiedzieć jedną rzecz, jeżeli chodzi o armię brytyjską. Ja zawsze byłem traktowany na równi. Zawsze byłem podkreślany, że jestem Polakiem. Nigdy nie mówiłem, że ja jestem ktoś inny. Dwa razy byłem przedstawiony królowej jako Polak. Byłem przedstawiony do Filipa jako Polak. Raczej Anglicy lubili się mną chwalić. Byli bardzo koleżeńscy, po sportowemu koleżeńscy. Bezwarunkowo gdzieś tam w ukryciu może ja byłem ten blady Paul, ale to nigdy nie wyszło na wierzch. Nigdy nie spotkało mnie żadne świństwo od Anglików, jeżeli chodzi o wojsko. Byłem znany z dyscypliny. Będąc raczej młodym dowódcą, byłem bardzo wymagający, ale lubiany. Mój czołg zawsze dumnie nosił cztery flagi: polską, irlandzką, walijską i szkocką. Nie było Anglika. Oni z tego byli dumni. Tak że jeżeli chodzi o podejście Anglików, do pewnego stopnia można powiedzieć, że Anglicy nie są łatwym krajem, żeby cudzoziemców traktować na tym samym poziomie, ale będąc uczciwym w stosunku do wszystkich spraw, my też nie mamy podejścia w stosunku do... My albo Anglików czy cudzoziemców wywyższamy niepotrzebnie, albo sami obniżamy swój poziom. Ja muszę powiedzieć, że służba u Anglików była dla mnie bez specjalnych takich jakichś trudności. Ode mnie dużo wymagano,

a ja wymagałem dużo od osób, które były przede mną. Nie miałem problemów.

Zofia Kunert: A teraz działa pan tutaj, jest pan prezesem różnych związków...

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Za długo.

Zofia Kunert: Związków weteranów. Proszę troszkę powiedzieć właśnie o tym środowisku, które się znalazło w Kanadzie, polskich weteranów, polskich kombatantów.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Więc proszę pani, w pierwszym momencie ja należałem, byłem z początku w milicji kanadyjskiej, ale ja nie miałem czasu. Dlatego, że tutaj trzeba było pracować intensywnie i po prostu człowiek nie miał czasu, żeby się bawić w wojsko. Tak samo jeżeli chodzi o... czy to o Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, czy Koło Armii Krajowej. Przez pewien okres czasu ja się nie udzielałem dlatego, bo po prostu nie miałem na to czasu. Żona, która jest doktorem optometrii, miała swój własny interes, mieliśmy troje dzieci. Tak że roboty było sporo. Później stopniowo zaczęło się od harcerstwa. Harcerstwo mnie ściągnęło do prac organizacyjnych. Rzekomo jestem dobrym organizatorem. Według innych, nie według mnie. A tę książeczkę, co pani dostała, jak pani sobie przeczyta, to może pani będzie więcej rozumiała moje podejście. Jestem Prezesem Koła Armii Krajowej prawie że 25 lat. Jak to mój świętej pamięci profesor Zasada od Giżyckiego zawsze mówił, że niezbadana jest dusza frajera. Właśnie ja. Dało mi to pewną satysfakcję pomocy. Byłem odpowiedzialny za szereg rzeczy. Powstanie pomnika lotników w Ottawie. Do tego się przyznaje, to razem z SPK. Dość dużo czasu spędziłem w pracy, żeby otrzymać Order of Canada doktora Kabaty, który jest naszym członkiem. Ja nie mam kłopotów z językiem angielskim. Francuskiego nie znam na tyle, żebym się nazywał elokwentny. Moją, że tak powiem, działalnością było to, co ja już pani powiedziałem, pokazanie dobra polskiego, czy to było wojsko, czy to było społeczeństwo, czy był kraj. Na gruncie kanadyjskim. Niekoniecznie trzeba się chwalić 3 maja. Można to mówić w towarzystwie kanadyjskim. Polonia troszeczkę za dużo zawsze trzymała się swojego gniazda. Nie potrafiła wyjść na zewnątrz. A o Polsce można długo mówić i mówić pozytywnie. Ja to uważałem za swoją robotę. Jeżeli chodzi o dywizję, muszę powiedzieć, że ja jestem dywizji zawsze wdzięczny za to, że ze mnie zrobili pancerniaka. Byłem w zarządzie dywizji przez wiele lat, pomagając wszystkim prezesom. Powiedziałem tylko jedną rzecz, że dopóki żołnierz, który był w Normandii żyje, to ja nie mam zamiaru... Zresztą dla mnie prezesura to nie jest żadna... To jest robota. To jest funkcja, a nie jakiś tam... Prezes. Co to jest prezes. Zwierzak, który pracuje. Więc obecnie niestety w dywizji właściwie już nikogo nie ma, z którym coś można zrobić. Można propagować, powiedzmy sobie, historię. W każdym razie praca, czy to było w Stowarzyszeniu 1. Dywizji Pancerniej, czy w AK, przyniosła mi dużo satysfakcji. Satysfakcję pomocy. Reprezentacji. Na przykład był wypadek, że tutaj weterani, którzy służyli w 2. Korpusie i uważali, że Armia Krajowa to jakaś kupa cywili. Akowcy nie potrafili się przedstawić. Akowcy mają ten problem, że nie znają żargonu wojskowego. Zanim może przeszli, zanim może przeżyli pewne momenty i nie mają w sobie tej wojskowości, która jest potrzebna. Mnie nauczono dowodzić i swego czasu jeden z kolegów powiedział, bo jakiś tam był 11 listopada, jakiś pochód, zwrócił się do moich dwóch kolegów z Armii Krajowej: „A wy, cywile, won do tyłu”. Więc ja mu grzecznie wytłumaczyłem, że ja ten pochód jemu będę jeszcze prowadził i prowadziłem przez wiele lat. Tylko dlatego. Więc jeżeli chodzi o Armię Krajową, powiedzmy sobie, co żołnierzowi Armii Krajowej w Kanadzie brakowało? Żargonu wojskowego i poczucia żołnierskiego, który był zrozumiany. Myśmy nie mieli sierżantów szefów, myśmy nie mieli... myśmy byli kolegami dla wszystkich. Nasi

oficerowie byli naszymi kolegami. To było dobre w akcji. Ale to nie grało zupełnie w odpowiednią rolę tutaj.

Zofia Kunert: Ale chodziło mi też o to, jak liczne jest to środowisko? Czy było duże? Rozumiem, że teraz siłą rzeczy staje się coraz mniejsze. Ale czy...

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Jak ja objąłem Koło ponad 25 lat temu, Koło miało 75, maksimum Koła było 180. Obecnie w Kanadzie, bo ja ciągle pracuję nad tym, żeby akowcy mieli równouprawnienie, obecnie w Kanadzie dwa lata temu było 200, teraz jest jakieś 170. W Kanadzie. Prawdziwych. Ja powiedziałem i ministrowi do spraw weterańskich Kanady, i panu ambasadorowi, jego ekscelencji, i panom konsulom, że ja jestem odpowiedzialny za 175 osób, a nie za połowę Mississaugi. Do mnie zadzwonił jegomość, mówi: „Proszę pana, ja żądam pomocy od Kanadyjczyków”. Okazuje się, że jego mama była matką dziewczynką w 1944 roku. Ja jestem zanadto cwany na te rzeczy.

Zofia Kunert: Dobrze, teraz wracamy jeszcze do wcześniejszych czasów. Bo pan tak powiedział wszystko przedstawiając fakty. Ale jeśli chodzi o pana przeżycia, co na panu zrobiło największe wrażenie, najgłębiej pan przeżył z okresu wojny? Co było najgorsze? Nie wiem, najstraszniejsze. Czy powstanie, czy wrzesień, czy nie wiem, powstanie w getcie, które pan na przykład obserwował. Co wtedy zrobiło na panu największe wrażenie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Wie pani, mnie wychowali jako żołnierza od dziecka. Ja zawsze byłem zajęty. Ja zawsze miałem broń. Zaczęłem nosić broń mając 15 lat. Broń była w domu. Ja dobrze wiedziałem, powiedzmy sobie, po co się używa broń. Jak miałem siedem lat, to mój ojciec powiedział, że: „To jest pistolet. Jedyne moment, że go możesz wziąć do ręki i celować, jeżeli chodzi o obronę kraju albo rodziny”. Ja nie miałem trudnych okresów. Ja śmierć kolegów przeżywałem w normalny sposób. Szydłowscy nie płaczą. Co było dla mnie najtrudniejsze, najprzykrejsze, najbardziej bolesne? To było to, jak ja przeszedłem Jerozolimskie na Kruczą, żeby tę rękę ratować. Na tę operację. I spotkałem się z ludnością cywilną w piwnicach. I ta Matka Boska, i te wszystkie modlitwy, i tak dalej. Ludzie, którzy byli kompletnie... Już jedyna rzecz, która została, to ta modlitwa. To było może najbardziej przykre. Bo ja byłem zajęty cały czas. Czy to była barykada, czy to był patrol, czy to była późniejsza akcja jakakolwiek. Ja nie miałem w sobie żadnego takiego specjalnego strachu. Natomiast dzieci, starcy, mamy, taty, takie czy inne, siedzące w tych piwnicach i modlące się, to było najgorsze. To nie było osobiste, ale to było ogólne. Tak dla kawału powiem, ja zostałem ranny na ulicy Jasnej i chodziło o przeskoczenie z plutonem przez ulicę. I ja byłem pierwszy, który przeskoczył i dostałem serię ze spandaua. A on, ten dziad, co szybko strzela. Więc dostałem w pistolet, w rękę i moja cała kurtka była wydartą kompletnie i miałem jeden przestrzał przez brzuch, ale podskórny tylko. Zawsze mówię swojej żonie: „Wiesz co, jak ja bym był co najmniej jakieś pół kroku do przodu, to ty byś miała święty spokój”.

Zofia Kunert: No, dobrze, powiedział pan rzeczywiście o rzeczy bardzo ważnej i wiem, że to się przewija w różnych wspomnieniach. Właśnie stosunek ludności i ta bezradność ludności cywilnej. Ale na przykład, patrząc tak bardziej ogólnie, a jakieś takie straszne rozgoryczenie, że ci Rosjanie stoją po drugiej stronie i nie wchodzi. I nie pomagają. Czy było to oczywiste, że oni nie pomogą?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Myśmy mieli taką grupę młodzieżową, która... mieszkaliśmy, spotykaliśmy się w Raszynie pod Warszawą. Było bardzo dobrze słycać artylerię rosyjską jeszcze jak dochodziła do Wilna. To było

towarzystwo, niektórzy byli z „Zośki”, niektórzy byli z innych oddziałów. Ja dobrze pamiętam, jak jeden z kolegów powiedział: „Wiesz co, my wszystko zaczynamy nie pięć po dwunastej, ale rok po dwunastej”. To było do przewidzenia. Jeżeli ktokolwiek krytykuje Powstanie Warszawskie i powiedzmy sobie, biednego Bora-Komorowskiego, który... Ja dla niego mam ogromne, że tak powiem, współczucie, jako do dowódcy, który nie był przygotowany na tę historię. To był oficer, który... Najwyższy stopień dowodzenia to był dowódca pułku. Gdyby powstania nie było, rozkazu, to powstanie by się i tak zaczęło. Więc krytyka, jakakolwiek krytyka jest bez sensu. Dlatego że to, co myśmy myśleli, po prostu już było nierealne, ale jednak coś trzeba było robić. Ja przypuszczam, że gdyby nie było powstania, to i nie byłoby „Solidarności”. Naród by upadł zupełnie. Pomimo tych ogromnych strat, ogromnych, kolosalnych, bo to, że miasto zburzyli i odbudowali jeszcze w porządku. Cegły można postawić. Ale to, że były tak ogromne straty, a właśnie dzięki nim powstała Polska.

Zofia Kunert: A wracając jeszcze do września, powiedział pan, że było oczywiste, że wojna będzie, że wojna prawdopodobnie będzie przegrana, ale czy spodziewaliście się wtedy wejścia sowietów?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Może w 1939 roku myśmy wierzyli w pewne układy. Ja przypuszczam, że to było brane pod uwagę przez władze i dowództwo. Natomiast ludek warszawski czy ludek polski raczej o tym nie myślał. Mój wuj, pułkownik Szymański, który był ostatnim attache wojskowym w Berlinie... Ja później z wujem na ten temat dość dużo rozmawiałem. To bardzo ciekawy pan. To on powiedział, że to było wiadomo, że Rosjanie zaatakują. Więc mi się wydaje, że polski wywiad i polskie dowództwo liczyło się z tym. Jeżeli chodzi, ja później troszkę studiowałem, jeżeli chodzi o 1939 rok, bo przez długi okres czasu 1939 rok nie był historycznie znany, a oprócz klęsk, był tak samo... niektóre działania militarne były pierwsza klasa. Bitwa pod Kockiem na przykład była pierwsza klasa. Kleberg i to wszystko, więc mi się wydaje, że jednak góra i wojska, i rząd orientowali się.

Zofia Kunert: A pana osobiste wrażenie na wiadomość o 17 września? Pamięta pan, jakie to zrobiło na panu wrażenie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Wie pani, 17 września ja... Po prostu to był moment pewnego rodzaju takiego zaskoczenia. I muszę powiedzieć, że osobiście na mnie to nie zrobiło takiego dużego wrażenia. Natomiast ja wiedziałem, że to jest początek końca. Ja wiedziałem, że Polska sobie militarnie nie da rady. Pomimo że w domu się nie dyskutowało, żadnych wojskowych historii, to było tabu w domu, ale obrona Polski na dwóch frontach nie miała racji bytu.

Zofia Kunert: Politycznie było bliżej w pana domu jakiemu kierunkowi, jakiej orientacji? To był dom, rozumiem, raczej o tradycjach piłsudczykowskich?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Wie pani, politycznie ja byłem Polakiem, jako chłopak. Ojciec jako oficer może raczej był, powiedzmy sobie piłsudczykiem jako oficer. Natomiast był bardzo lojalny, jeżeli chodzi o polską konstytucję. Ja pamiętam z innej beczki mojego ojca rozmowę, przy której byłem obecny, z generałem Andersem. Sprawy londyńskie. I Anders powiedział: „Panie pułkowniku, ja wiem, że pan koniecznie ze mną się nie zgadza. Ja za to pana bardzo szanuję”. Ojciec raczej był, tak samo ja byłem raczej zawsze, że tak powiem, Polska to było coś, co było większe jak sprawy polityczne. I to zostało.

Zofia Kunert: A z takich spraw jeszcze bardzo ogólnych. Czy pamięta pan, jak dotarła do pana wiadomość o zbrodni katyńskiej? Jakie to zrobiło wrażenie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Może jako dziecko wojska polskiego i syn oficera, wstyd, że państwo pozwoliło na to. Że po prostu nie mieliśmy siły, żeby to zabezpieczyć. Bo to było coś, co jest nie tylko, że karygodne, ale powiedzmy sobie ponad świadomość żołnierza. Bo co innego jest zwykłe morderstwo, a to było więcej jak morderstwo. Z tym, że to pewnego rodzaju taka może nie żałość, ale złość, że Polska nie była w stanie temu zapobiec. To moje osobiste takie.

Zofia Kunert: A kiedy się pan dowiedział?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Jak Niemcy ogłosili w Warszawie. Z tym, że, powiedzmy sobie, w moich kółkach, w których ja się obracałem, myśmy z miejsca wiedzieli, że to są Rosjanie. Pomimo tego, że żaden z nas Niemców nie kochał, ale to było za... Rodzina nie miała strat w Katyniu, natomiast masa ojca kolegów zginęła.

Zofia Kunert: A z kolei inne takie, taka inna tragedia, innego wymiaru, innego typu.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Śmierć Kontryma w Mokotowie. Śmierć generała Jungrava, przyjaciela mojego ojca. Ja tego nie rozumiałem. Ja wiem, że Kontrym nie był święty. Jego historia jest bardzo ciekawa i można wyciągać różne aspekty. Ja go widziałem jako dowódcę. Szliśmy razem w pasie, ja byłem zaraz koło niego. Bardzo odważny oficer. Bardzo ciekawy oficer. To gorsze jak Katyń, bo to swoi.

Zofia Kunert: A ja chciałam w tym momencie spytać prawdę mówiąc o coś innego, a mianowicie o śmierć generała Sikorskiego. Jakie to zrobiło wrażenie?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Widzi pani, jak nastąpił wypadek w Smoleńsku ostatnio, ja bardzo współczuję rodzinom i nie będę dyskutował, bo to jest inna rzecz, do mnie zadzwonił pan Władysław Lizoń, który był prezesem Kongresu w danym momencie, Władek teraz siedzi w Ottawie. Chwalić Boga, bardzośmy nad tym pracowali. Ja w nocy wstałem, bo miałem dostać e-mail z Ottawy na tematy weterańskie i jak otworzyłem komputer, mnie to wyskoczyło. Po 15 minutach zadzwonił Władek Lizoń i mówi: „Słuchaj, czy ty wiesz, co się stało?”. Ja mówię: „Ja akurat... Wyskoczyło mi w komputerze”. On mówi: „No, widzisz”. Ja mówię: „Wiesz co, Władek. Drugi Gibraltarc. Nigdy nikt się prawdy nie dowie”. Jeżeli chodzi o Sikorskiego, ja nie będę tutaj mówił, ale jakby to powiedzieć, jest tyle różnych historii. Generał miał swoje duże zalety, tak jak każdy człowiek miał swoje wady. Mieliśmy tę Wyspę Wężów w Szkocji. Ja bym to raczej zostawił w spokoju. Niech się Bozia tym zajmuje.

Zofia Kunert: Ale mi chodziło o pana nastrój wtedy. Nie teraz z perspektywy lat, jak się ocenia postać. Tylko wtedy, jaki to miało wpływ na nastroje społeczeństwa. Bo się zawsze mówiło, że Sikorski to jest jakaś tam nadzieja, coś może się uda zrobić i tak dalej, i tak dalej.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Widzi pani, w momencie jak generał zginął, to sytuacja polityczna była już troszeczkę inna. I powiedzmy sobie, myśmy w Polsce żyli pewnego rodzaju euforią wolności. To było nasze życie. Żeby skończyć z tą okupacją i myśmy siebie widzieli, że Polska musi powstać. Niech się wszystko dzieje, musi powstać. I to było tragedią dla wielu osób, jak stało się inaczej. Natomiast już wtedy było wiadomo, że sytuacja polityczna bierze górę. Może my jesteśmy troszeczkę bardzo za łatwowierni w niektórych wypadkach. Może my wierzymy przyjaciółom, którzy opierają się na polityce. Polityka nie ma przyjaciół. I tu jest... Pewnego rodzaju może to jest nasza wada do pewnego stopnia, że za mało polegamy na sobie, za mało z sobą współpracujemy, a patrzymy się na innych w jakiś inny sposób. Ale to jest już dyskusja.

Konrad Starczewski: Ja jeszcze miałbym tylko do pana pytanie o pana pracę w Szarych Szeregach. Chodziłoby mi o to, czy przed różnymi akcjami Szarych Szeregów na oprawców Warszawy, czy do pana dochodziły jakieś wiadomości na ten temat? Chodzi o akcję na Kutscherę, chodzi o akcję na różne osoby z [niezrozumiałe, 00:57:13]

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Jakby to powiedzieć, wyrażę się nieładnie. Politrukiem Szarych Szeregów to był Stasiecki, z którym się spotykałem. Ja byłem wtedy bardzo młody, ale zawsze miałem to, że założyłem swoją drużynę chłopców, którzy byli Zawiszacy, część z nich była w szkołach bojowych. Dla mnie, myśmy byli dobrze poinformowani. Moim takim wielkim przyjacielem i starszym grubo ode mnie to był Kamyk. Kamienie na szaniec. Który mieszkał na Alejach Niepodległości. Ja mieszkałem na Rakowieckiej. Żona Kamyka zawsze robiła jakieś tam ciasteczka. Wie pan, podczas okupacji myśmy mieli swoje młode lata i często było głodno i chłodno. Jak ktoś przyjął taką ersatz coffee i zrobił ciasteczka, to był mile widziany. Więc myśmy się dobrze orientowali. Ja znałem „Rudego”, znałem „Zośkę”.

Konrad Starczewski: Jaki to był człowiek?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: „Zośka”?

Konrad Starczewski: Tak.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Pan zna angielski?

Konrad Starczewski: Troszkę.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Died of make any more. Takich nie ma już. To był bardzo wyjątkowy człowiek. Ale to nie był człowiek, który poświęcał swoje życie wojsku. Jego założeniem była Polska wolna, Polska tętniąca, Polska wiedząca, czego chce. Polska jako wolny kraj. Nie był militarystą. Był wspaniałym dowódcą, wspaniałym oficerem. Ja pamiętam, jak do nas przyszedł, miał wykład na temat parabellum. To było wspaniałe. Do dziś dnia to parabellum pamiętam. Ale to był człowiek, który myślał o Polsce jako wolna Polska przyszłości. To, co ja Polsce teraz życzę. Ja do Polski nie wrócę, ale chcę, żeby ta Polska była taka, jaka powinna być. Bez żadnych takich kłopotów. Szare Szeregi miały jedną rzecz, że trzymały młodzież w momencie bardzo trudnym. Okupacja była drogami, żeby pójść na prawo i na lewo, w każdym kierunku. Obowiązkiem instruktorów harcerskich było to, żeby ten harcerz Szarych Szeregów nie tylko znał prawo harcerskie, ale wiedział, że się ma uczyć. Uczyć dla Polski, nie tylko bić dla Polski. Tylko uczyć się dla Polski. Poza tym największy problem, który Szare Szeregi miały to było przetłumaczenie Armii Krajowej, która używała ten element, bo to był element, na którym można było polegać. Dlatego młodzież miała takie straty. Dlatego

w Powstaniu były takie straty. Myśmy byli tak napompowani patriotyzmem, że z nas tryskało, ale były i straty. Jedyna zapłata, którą myśmy dostali, duchowa zapłata, to było to, że coś z tego zostało. Później podziało na Polaków. Bo bez tego może byłoby inaczej. Bo jednak Polacy byli zmęczeni wojną. Polacy byli zmęczeni systemem ojczyzny ludowej. Ale jednak coś zostało z tego. I to był ten płomyk, który poszedł do góry. Ale na tym trzeba pracować, a nie bawić się w ciuciubabkę. Przepraszam za uwagę.

Konrad Starczewski : A pamięta pan czy... Bo pan stworzył jakąś drużynę w 1940 roku i ona została wchłonięta przez Szare Szeregi.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ona weszła do tego, weszła do Mokotów Południe.

Konrad Starczewski: A czy pan składał przysięgę harcerską już po wchłonięciu do Szarych Szeregów? Czy nie było to konieczne?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Nie. Przedwojenną.

Konrad Starczewski: Przedwojenną.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Tylko prawo harcerskie.

Zofia Kunert: A miał pan jakiś pseudonim wtedy?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Parę.

Zofia Kunert: To znaczy?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ja miałem „Druh mokotowski” było jedno, to było Szare Szeregi, później miałem pseudonim „Gruda”, który używałem w Podkowie. Popularnie mnie nazywali „Krzysiek”.

Konrad Starczewski: A oprócz tej pracy związanej z radiostacją. Jak wyglądały jeszcze jakieś inne pana czynności w Szarych Szeregach?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Musieliśmy się uczyć broni. Na początku się zaczęło, że człowiek się uczył z rysunków.

Konrad Starczewski: A gdzie odbywały się te szkolenia?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Prywatnie po domach. Tak samo jak komplety. Poza tym, powiedzmy sobie, przychodzili, była kwestia brzęczyka, uczenia się Morse’a. Moim dowódcą z łączności był kapitan Relich. Ale, powiedzmy sobie, było bronioznawstwo. Musieliśmy znać Stena, rozłożyć Stena. Zналиśmy Visa, musieliśmy rozłożyć Visa. Tak że te rzeczy. Człowiek wtedy miał swoje 16-17 lat, ale wszystko wschodziło, do dziś dnia to potrafię robić. Tak że zajęliśmy byli.

Konrad Starczewski: A kiedy pan pierwszy raz dowiedział się czy został poinformowany o godzinie W?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Były dwa. Jedna była koncentracja, która się nie udała. To był troszkę błąd, ale trudno

powiedzieć. Ja byłem powiadomiony, ja już wtedy nie mieszkalem w domu, bo już nie było można. Troszkę to była mała wpadka i nie wiadomo, kto sygnął czy nie sygnął. Więc zostałem, łączniczka przyszła i kazała się zameldować na Placu Dąbrowskiego. Łączniczką, która mnie poinformowała o powstaniu była „Kalina”. Jej pseudonim „Kalina”. Konrad Starczewski: Jak pan dowiedział się o tej godzinie W, to co pan wówczas pomyślał? Czy pomyślał pan „nareszcie”, czy raczej więcej było obaw?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Nie, to po prostu było to, że zaczyna się akcja. Trzeba być gotowym. Myśmy nie podchodzili do tego jako, powiedzmy sobie, jakaś, coś nowego, co będzie, tylko jako akcja. To był rozkaz bojowy. Nie była żadna niespodzianka. Poza tym, powiedzmy sobie, wszyscy byliśmy, ja byłem najmłodszy w tym oddziale, ale wszystko to było wojsko. Oni mieli swoje, że tak powiem, takie czy inne przejścia, wesołe, niewesołe. Tak że po prostu zaczyna się i koniec. To nie była jakaś atrakcja. Normalny rozkaz. Dzisiaj jest patrol, idziemy na patrol. Koniec. Robota.

Zofia Kunert: A ja jeszcze, bo powiedział pan, że największe wrażenie, takie tragiczne wywarła na panu śmierć Żmudzina, Kontryma, bo z rąk własnych. Oczywiście, tak. Ale jak się pan o tym dowiedział? Przecież pan już był dawno na Zachodzie. Czyli innymi słowy, skąd pan czerpał wiadomości o tym, co się dzieje w Polsce?

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Syn Kontryma, Władek, który do pewnego stopnia był odpowiedzialny za to, że ojciec wrócił. Ja z Władkiem byłem w kontakcie. Z tym, że będąc w wojsku angielskim, biorąc pod uwagę stosunki w Polsce, ja nie korespondowałem. Dlatego, że powiedzmy sobie, byłem jakby po drugiej stronie, że tak powiem... Jak to się mówi, the other side of deffence. Dowiedziałem się, powiedzmy sobie, dość szybko. Nie mogę pani powiedzieć, w jaki sposób. W każdym razie dowiedziałem się i to dowiedziałem się wpierw o śmierci Jungrava, bo to ojciec mnie powiadomił. I ojciec mnie prawdopodobnie powiadomił o śmierci Kontryma. Dlatego, że Kontrym był w 9. Batalionie, był dowódcą kompanii. Kontrym miał problemy z Londynem, bo tam coś nie chcieli mu zapłacić za to, że on był w Armii Krajowej. Tam były jakieś kontakty. Z Władkiem byłem w kontakcie do momentu jak nie... że tak powiem, nie wstąpiłem do wojska angielskiego. Ze względów normalnych, ludzkich nie kontaktowałem się z nikim, bo to nigdy nie było wiadomo. Ja bym powiedział, że Kontrym dla mnie to... To było jakieś takie uczucie złości. To nie była jakaś rozpacz. To była złość, że jednak, powiedzmy sobie, Polacy łapią się tych, że tak powiem momentów, żeby się jednostek pozbyć. Tak samo, powiedzmy sobie, to, co się później działo, to na mnie bardzo... Nie wiem, pani nie jest z tego, co słyszałem. Pani nie zna pani Maryli Sobocińskiej. Ona jest w Sztokholmie obecnie. Znaczący w Szwecji. One przeszły przez wszystkie te więzienia dla kobiet, Fordon i tak dalej. Dla mnie to jest ohydne. Jak mężczyzna, człowiek, żołnierz, oficer, może się dopuścić. Dla mnie to jest rzecz, która, że tak powiem, kupy się nie trzyma. To trzeba być ostatnim, że tak powiem, takim wykolejonym człowiekiem, żeby z drugim człowiekiem w ten sposób się zachowywać. Rozstrzelać tak, rozumiem. Ktoś jest winny, ktoś ma inne, rozumiem. Ale w ten sposób postępować z kobietami? Niemcy co innego, Rosjanie co innego, ale nie Polacy. Więc tu jest taka pewnego rodzaju, jakby to nazwać, zdziwienie połączone ze złością.

Zofia Kunert: A docierały tutaj jakieś... Czy wtedy docierały takie wiadomości o sytuacji politycznej, czy słuchał pan na przykład sekcji polskiej radia BBC, Wolnej Europy? Coś takiego.

Krzysztof Lubicz-Szydłowski: Ja byłem w wielkiej przyjaźni z Nowakiem. Nowak u nas był. Ja pana Jana kilka razy miałem u siebie w Kole Armii Krajowej. Z panem Janem wielokrotnieśmy rozmawiali na te tematy. Tak. Powiedzmy sobie, z tym że państwo muszą pamiętać, że w latach, powiedzmy sobie, nawet i 50., myśmy ciągle myśleli, że Polska jakaś będzie wolna. Jak to się stanie, nikt nie wiedział. Ale że jakoś coś się zmieni. Dopiero później się okazało, że to będzie proces znacznie dłuższy. Była taka pewnego rodzaju nadzieja, która nie miała podstaw. Polacy pracowali nad tym, powiedzmy sobie, żeby coś Polsce pomóc. To nie było w gruncie rzeczy realne, bo Rosja była za mocna politycznie. Myśmy siedzieli zupełnie z boku, ale rząd polski w Londynie nie miał żadnych wartości politycznych. Wszyscy byli rozżaleni. Ale zawsze jakoś była ta nadzieja, że coś będzie. Z tym, że powiedzmy sobie, z czasem to zaczęło się zmieniać. Polacy sami doszli do przekonania, że trzeba z tym fantem skończyć. Jak papież był tutaj jako kardynał Krakowa, ja z papieżem rozmawiałem. Mnie uderzyła jedna rzecz u papieża. To taka miłość do młodzieży. I Polaków bardzo dobrze znał. I z dobrych, i złych storn. I powiedzmy sobie, do pewnego stopnia może to było też pewnego rodzaju motorem, ale miejmy nadzieję, że Polacy potrafią to utrzymać.